Warszawa, dnia 20 Maja / 1 Czerwca № 22. Rok 1861

MAGAZYN MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

Cena. w *Warszawie rocznie* rs. 6. *Półrocznie* Rs. 3. *Kwartalnie* Rs. 1 k. 50. *Na prowincyi rocznie* rs. 7 k. 20, *półrocznie* rs. 3 k. 75. W *Cesarstwie* i *Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* Rs. 9 k. 20; *półrocznie* rs. 4 k. 75.

Prenumerować można w Redakcyi przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Ekspedycyi głównéj **Magazynu Mód** w Księgarni *M. Glücksberga*, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście N. 9 (411); w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych, w Księgarni P. W. Zacharkiewicza w Mohylewie nad Dnieprem i we wszystkich Księgarniach w kraju i za granicą.

OBRAZKI NASZEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIADANE PRZEZ

Janka z Bielca.

4.

Młodości! mnie nektar żywota
Wtenczas jest słodkim, gdy z innemi w dziele
Serca niebiańskie nie poi wesele...
Jeśli je razem nie wiąże nić złota.

O milę od wsi Łazy, własności pana Michała i matki Stanisława, którego w nocnéj walce zostawiliśmy w polu krwią zbroczonego, znajdowała się dosyć obszerna i intratna wieś Graniec, należąca do Stefana Witoskiego. Dziedzic jéj, był-to młody człowiek, lat około dwudziestu siedem mieć mogący, zdolności wcale niezłych, urody nienajgorszéj, wzrostu więcéj jak średniego, włosów blond, spokojnego serca i nadzwyczaj wydelikaconego podniebienia. Uposażony w ładną majętność, żadnego wrzasku życiem swém nie robił; siał, zbierał, przedawał: włości nie niszczył, od hulanek stronił, i choć nikt na niego bardzo nie narzekał, nikt jednak nie błogosławił. Życie więc jego płynęło nadzwyczaj powszednio, a myśl, jeśli się wzniosła po nad stajnie, obory i gumna, to niezawodnie spoczęła na najbliższéj niwie, kołyszącéj się pszennemi kłosami, lub w poskoku, pobiegła do lasu, lubować się jego gąszczem i wiekowemi sosnami, co okalając odwieczne dęby, szeptały zalotnie... cyfry swéj wartości. Co zaś daléj się działo, mało go to obchodziło; a jeżeli przypadkiem nowiny z ościennéj strony otarły się o uszy pana Stefana, to regularnie bębniąc palcami po kolanie, wysłuchywał je z wielką powagą, potém wzdychał jak nad twardą pieczenią, przymykał oczów i.... usypiał.

Mimo téj małéj słabostki, robiącéj dla pana Stefana ze wsi Graniec rodzinę, ojczyznę, a nawet świat cały—dalsi i bliżsi sąsiedzi nazywali go młodzieńcem bardzo porządnym, rządnym, gospodarnym, słowem: dobrym człowiekiem; co pan Michał motywując, zawsze dodawał:

— Rzeczywiście, monserdzieju, pan Stefan dobry człowiek, bo nikogo jeszcze nie ukąsił; ale za dobroć jego nie dałbym i grosza, bo to czysta topola: wysoka, bujna, w liść bogata, ale bez cieniu i owocu.

Niechęć ta jednak przez okolicznych mieszkańców nie była podzielaną, wszystkie bowiem wjazdowe wrota sąsiedzkich wiosek stały zawsze otworem dla pana Stefana: wszędzie witano go z otwartemi rękoma, żegnano z żalem, wyczekiwano z upragnieniem i niejedno młode serduszko uderzyło silniéj, ile razy ożywione nadzieją, roiło plany dostania się przez stopnie ołtarza do zamożnego dworu Grańca.

Ale, jak to zwykle bywa na świecie, wszystkie te zabiegi i najgorętsze życzenia nie przynosiły żadnego pożądanego skutku; pan Stefan bowiem bywał wszędzie, ale nigdzie często; chwalił zarówno niebieskie, piwne jak i czarne oczy, a posądzany o zabiegi małżeńskie w domu zamożnym, nie zaprzeczał wieściom, ale i nie potwierdzał; w domu zaś uboższym, wypuszczającym w świat dzieweczki jak ptaszki z gniazdka, tylko w piórkach pełnych krasy i urody, uśmiechał się i gładząc wąsa, mówił z pewną dumą:

— Z biedactwem nigdy się nie ożenię, bo jak zobaczę moje stado owiec, krów, koni, gumna pełne zboża, spichlerze zapchane ziarnem, piwnice okowitą, i pomyślę, że żeniąc się, muszę własnością tego wszystkiego podzielić się na dwoje; toć sprawiedliwie wymagam posagu, abym dostał to, co mam już i co naturalnie przez małżeństwo musiałbym stracić.

Mimo jednak téj, dosyć często głoszonéj zasady, z najlepszą wiarą w jéj słuszność, uważano, że w Łazach odwiedziny pana Stefana stawały się coraz częstszemi, że posądzany o wpływ uroku ciemnych oczu Józi, siostry Stanisława, dziedzic Grańca, nic nie odpowiadał, tylko kiwał nogą, bębnił palcami i zamyślał się, co tylko zwykł był robić przy przedaży zboża lub innych produktów, albo przy jakim kłopocie gospodarskim. Domysły więc pomału zaczęły przechodzić w pewność, i gdy wyglądano już tylko chwili ostatecznéj decyzji pana Stefana, nie wątpiąc o przyjęciu jéj z największą radością, tak przez panią Adamowę, jak i jéj córkę Józię, nagle stosunki z Łazami zupełnie zerwał, i nawet po trzechtygodniowéj nieobecności, jedném słowem nie dał poznać, że tęskni za niemi, i że pragnie odnowić tak miłe przed tém dla niego odwiedziny.

Postępek ten choć w Łazach uważano, przyjęto jednak z największą obojętnością, tak dalece, że nawet plotka, skora służebnica w odgadywaniu myśli ludzkiéj, nie przyniosła nic takiego do ucha pana Stefana, coby łechtając jego dumę, świadczyło zarazem o smutku panny lub żalu jéj opiekunów ze straty tyle pożądanego wszędzie konkurenta. To go widać cokolwiek podrażniło, bo po dwutygodniowéj jeszcze pauzie, nagle przed dworkiem w Łazach zaturkotała bryczka i wysiadł z niéj pan Stefan, pełny najlepszéj nadziei serdecznego przyjęcia, a nawet radości z tak pożądanych a zupełnie niespodziewanych odwiedzin.

Ale widać, że dziedzic Grańca co do stosunków z Łazami, urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą. Pani Adamowa wprawdzie przyjęła go z największą uprzejmością, ale bez żadnych oznak widocznych, że ją przyjazd ten dziwi lub szczególniéj cieszy; Józia zaś całém sercem i duszą zajęta wyprawą brata Stanisława, w myśli snując najrozkoszniejsze obrazy, ożywiające wszystkie bratnie serca, pewna przytém, że i pan Stefan poszedł w ślad za drugiemi, nic nie wiedząc o jego przyjeździe; gdy weszła i zobaczyła go w saloniku, nagle zatrzymała się w samym progu, i podając rękę zbliżającemu się do niéj na powitanie młodzieńcowi, rzekła z największém zadziwieniem:

— Jakto? pan tu, nie tam gdzie wszyscy?

To dobiło pana Stefana: zarumienił się, bąknął słów kilka i po półgodzinnéj bytności, niezatrzymywany, ani zapraszany, ruszył z powrotem ku domowi, przyrzekając solennie, że i noga jego nie postoi w miejscu, gdzie go tyle spotkało upokorzenia.

— Pan tu? — powtarzał jadąc, — a gdzież mam być u licha? kto nic nie ma, to łatwo mu się awanturować po świecie, bo może zyskać, a nic nie straci. Ale ja... proszę, jaka mi kaznodziejka. Ciekawym, kto na tém straci? Filozofów nie lubię, ale filozofek nie nawidzę, a panna Józefa coś mi na filozofkę wygląda.

Józia zaś na wymówki matki, że przyjęcie jéj Stefana było cokolwiek szorstkie, a może nawet troszkę niegrzeczne, rzekła:

— Być może, nie przeczę temu moja droga matko, ale gdy serce przejęte jest uczuciem, jakie moje ożywia, względy zwyczajnéj grzeczności zastąpić musiało bardzo naturalne zadziwienie, które prawie mimowolnie z ust mi się wyrwało. Wreszcie, niech to będzie małą nauczką, którą, oby każda z nas raczyła podobnych panu Stefanowi.

Dziedzic Grańca przybywszy do domu, nic nie jedząc, udał się na spoczynek; na drugi dzień łajał, fukał i tak się złościł, jak nigdy. Trzeciego dnia widocznie posmutniał, czwartego stracił apetyt, a piątego, czy to trapiony wewnętrznie tłumionym gniewem, czy téż tajemnym procesem organizmu, czy nareszcie wstydem szepczącym mu ciągle w uszach: „pan tu, nie tam gdzie wszyscy“ położył się w łóżko i otoczył receptami i aptecznemi medykamentami.

Jakiego rodzaju była ta choroba, podanie szczegółów nie zachowało; złośliwi tylko powiadali, że gdy w aptece przyrządzano różne specyfiki, kuchnia dworska w Grańcu nie próżnowała, i tak jak dawniéj obracały się w niéj rożny z pieczeniami i smażyły na patelniach i w rądlach różne sosy i potrawki. O ile było w tém wszystkiém prawdy, także nie wiadomo, ale tylko uważano, że gdy po miesięczném takiém odsunięciu się od świata, pan Stefan pokazał się ludziom, tusza w całym nim zna-

cznie się powiększyła, a twarz kraśniała rumieńcem zdrowia, połyskując jak najdelikatniejszy pargamin.

Ze zdrowiem ciała wrócił i dawny spokój duszy, gospodarstwo nowém zajaśniało życiem i myśl znowu rozpoczęła wędrówki po nad łanami, łąkami i lasami, unosząc się z całą swobodą ducha niedrażnionego, ani namową do poświęceń, ani wymówkami. Ale cóż stałego jest na świecie!

Po pewnym bowiem czasie, zaczęły do Grańca dochodzić nie nader miłe wieści. Powiadano bowiem, że w Łazach najzupełniéj i najformalniéj dostał od kosza; że panny go wyśmiały, pani Adamowa wyłajała, a pan Michał zburczał, grożąc infamją i ofiarą kądzieli i czepka; że wreszcie ztąd powstała żywsza cokolwiek rozmowa, w skutek któréj wyproszono go z domu i wyłączono zupełnie z serca i pamięci. Pan Stefan na pierwsze podobne pogłoski uśmiechnął się niezmiernie szydersko, późniéj zmarszczył brwi, a w końcu posmutniał tak dalece, że go dostrzeżono parę razy wzdychającego. Przyczyny tego różne naznaczano, ale późniejsze obserwacje wykryły, że powodem zmarszczenia brwi była obraza miłości własnéj, a smutku tęsknota za poczciwém towarzystwem w Łazach i za tą serdecznością myśli, która tam zdawała się wszędzie unosić w powietrzu, jak woń kwiatów i gwar życia całego stworzonego świata. Pan Stefan bowiem choć siebie kochał najlepiéj, ale i dla kraju ojczystego nie był bez pewnego uczucia, co stanowi wyłączny nasz charakter i zasługę; życiaby wprawdzie dla niego nie poświęcił, majątku nawet w cząstce nie oddał, ale mu jednak życzył jak najlepiéj i pragnął szczerze jego dobra i pomyślności.

Przytém, młodziutka buzia Józi, okolona ciemnemi lokami i zdobna tęsknotą polskiéj dziewicy, nie została bez wpływu na serce Stefana; najprzód więc myślał o niéj czasami, późniéj coraz częściéj, a w końcu ciągle bez przerwy, wyjąwszy chwile ekonomicznéj zadumy. Gdy więc poznał, że moralna jego strona zaczyna się wyłamywać z finansowego rygoru, i że cyfry gotów nawet wyłączyć z rozumowania, pan Stefan znowu się rozgniewał na niewinną Józię, że mu takiego narobiła kłopotu, i postanowił Łazy nietylko zdala omijać, ale nawet o nich nie pomyśléć.

Nie w mocy to jednak ludzkiéj i dlatego dziedzic Grańca bardzo prędko przekonał się, że Józia ma dla niego wartość najpiękniejszych włości, najznaczniejszych kapitałów, i że gdyby pozwoliła, u nóg jéj złożyłby Graniec ze wszystkiemi attynencjami i przyległościami, nic więcéj nie wymawiając dla siebie, tylko malutki kącik w serduszku nadobnéj dzieweczki. Myśl ta przyprowadzała go do rozpaczy, a szukając środków do jéj urzeczywistnienia, i przyzwyczajony wszystko traktować jak interes, w pierwszéj chwili chciał użyć żydka z poblizkiego miasteczka, jako już doświadczonego pośrednika we wszelkiego rodzaju kupnach i przedaży; rozsądek jednak przeważył, i postanowił sam działać przez siebie, korzystając z pierwszéj sposobności odnowienia zerwanych z Łazami stosunków.

Smutne, ze wszystkich stron nadbiegające wieści, wyborną do tego podały sposobność, raz, że niejako usprawiedliwiły, a raczéj łagodziły okazaną obojętność, drugi raz, że wkładały na niego pewien obowiązek pociechy osamotnionych kobiet i zacnego starca, żyjącego tylko nadzieją i dla nadziei. Odwiedziny więc rozpoczął nanowo, a nauczony doświadczeniem, usilném staraniem tyle rozwinął współczucia, tyle okazywał zapału do tego, co za święte w Łazach uważano, że pomału stał się prawie codziennym gościem, a nawet milszym i pożądańszym jak dawniéj. Nadzieja więc nanowo ożyła w sercu pana Stefana, ale ostrożny w postępowaniu, postanowił być cierpliwym i czekać dopóki w oczach kochanéj przez siebie dziewicy nie wyczyta, że go zrozumiała i że ofiarę z serca chętnie dla niego poniesie.

Ale oczy te, choć pełne wdzięku i życia, choć nieraz perliły się łzą zawiedzionych nadziei, dla dla Stefana były milczące jak tajemnica, nieodgadnięte jak dzieje przyszłości, z których napróżno starał się odgadnąć, czy mu kiedyś dadzą szczęście, którego tak gorąco pragnął i pożądał. Panienki wprawdzie domyślają się wszystkiego, ale któraż z nich w podobnych razach tak łatwo zdradzi swoje myśli? Pan Stefan więc w domysłach błąkał się jak w lesie podczas ciemnéj nocy, w któréj, jak sam powiadał, czuł drzewa pod ręką, ale nie wiedział jaka ich miąższość i wartość. Pragnąc więc raz wyjść z téj niepewności, a nie mogąc nigdy sam na sam rozmówić się z Józią, postanowił odwiedzić pana Michała, aby Maryni powierzyć to, co go więcéj od pewnego czasu zajmowało, niż posiewy, spichlerze a nawet owce i bydło, którym ze szczególném poświęcał się zamiłowaniem.

Przede wszystkiém więc przedstawił Maryni całą zamożność swego mienia, ze szczegółowym wykazem porządków i inwentarza. Marynia kiwnieniem głowy podziękowała mu za ten wstęp agronomiczno-hypoteczny. Późniéj dał jéj obraz urządzenia domu, jego wszystkich wygód, ogrodu z różnemi gatunkami owoców, powozu, koni i służby. Marynia znowu kiwnęła głową i spojrzała w oczy panu Stefanowi z pewnym rodzajem żalu, że piękne mienie w tak niewłaściwe dostało się ręce.

Spojrzenie uważając za korzystne dla siebie wrażenie, Pan Stefan wreszcie ośmielił się, i wyznawszy, że radby tego wszystkiego zrobić panią pannę Józefę, prosił ją o pośrednictwo w tém szczerém życzeniu jego serca. Marynia żywa jak fruczka, na tak niespodziewane zakończenie obszernego wywodu, rozśmiała się z całą szczerością młodości i rzekła:

— Przebacz pan mojemu śmiechowi, ale sądziłam, że chcesz przedać Graniec, wyliczając tak troskliwie wszystkie jego dogodności, i to za gotowiznę, nie zaś za serce Józi!

Pan Stefan wytrzeszczył oczy, zabębnił palcami i po chwili uspokoiwszy się, rzekł z lekkim szyderstwem:

— Przebacz także i pani, że sądząc, iż rozsądek u pani pierwszeństwo ma przed poezją, wprzód mówiłem o chlebie, a potém o....

— Czyś się pan omylił w tém przypuszczeniu, czas to pokaże! — odrzekła Marynia, cokolwiek się rumieniąc, — ale nie myślałam nigdy, że nas traktować będziesz jak cielęta lub owce granieckie, dla których pasza obfita starczy za wszystko.

I znowu nastąpiła chwila milczenia. Marynia zajęła się robótką, a Stefan bębnieniem. Naraz jeden pan Stefan uśmiechnął się, Marynia poruszyła się niespokojnie; pan Stefan rozśmiał się całą siłą piersi, a Marynia spojrzała na niego z zadziwieniem, jakby zapytując o powody téj szczególnéj wesołości.

Po chwili wyjąkał pan Stefan:

— Śmieję się droga pani ze zrobionego mi zarzutu, bo czyż mógłbym.... ale przejdźmy do właściwéj kwestji. Otóż Graniec zostawiając na boku, żeby nie ściągnąć na siebie nowego pani nieukontentowania, chociaż nie wziąłbym mniéj za niego, jak dziesięć tysięcy czerwonych złotych, wyliczę jeszcze inne szczegółki, abyś pani mogła mnie poznać jak najdokładniéj, i do tego zastosować przyszłe swe postępowanie.

Marynia westchnęła, a Stefan rozłożył się swobodnie w krześle i mówił daléj:

Otóż przede wszystkiém, trzeba pani wiedzieć, że i szkatułka u mnie niepróżna, znajdzie się wniéj kilkadziesiąt tysięcy, przytém na Mławicach mam złotych polskich dwanaście tysięcy, na Kurowie cztery tysiące, dwie bogate ciotki stare panny, których jedynym jestem sukcesorem, i jeszcze mi tam coś z rodzicielskiego przypadnie majątku. Więc panna Józefa, zostająca mą żoną.... ale pani się uśmiecha.... zawsze jednak i kapitał nie jest rzeczą do pogardzenia i gdy się go ma....

Ostatnie słowa umyślnie Stefan wymówił z pewnym naciskiem, jakby z przymówką do niepieniężności obu rodzin zamieszkujących Łazy; co zrozumiawszy Marynia, przerwała niecierpliwie:

— Prawda, że my pieniędzy nie mamy, ależ mój panie, Józia nie wieś, którąbyś mógł dokupić do swego Grańca; więc cóż nas mogą obchodzić pańskie pieniężne interesa?

— Hm! rozumiem panią, — mruknął z nieukontentowaniem pan Stefan, — więc powiem pani jeszcze, że jestem rządny, oszczędny, włóczęgi ani hulanek nie lubię, w karty nie gram, trunków nie piję....

— Ależ, mój panie! — przerwała Marynia, — ja panu świadectwa moralności pisać nie będę, więc po cóż to szczegółowe wyliczanie przymiotów, których nie zaprzeczam, i jakim się nie dziwię?

— Po co?—zapytał już z gniewem pan Stefan,— otóż powiem pani otwarcie: dlatego to zrobiłem, bo sądzę, że dla panny Józefy w jéj położeniu majątkowém, wszystko, co powiedziałem o sobie, powinno mieć pewną wartość; że gdy inne zzamkniętemi oczami, abym tylko słówko pisnął, stanęłyby ze mną u ołtarza; ani pani, ani panna Józefa lekceważyć przedstawienia mego nie powinny, bo i czegóż więcéj ode mnie można żądać?

Na te słowa serce Maryni zawrzało oburzeniem, i z uczuciem obrażonéj godności dziewiczéj powstając, rzekła z ogniem i zapałem:

— Czego można od pana żądać? oto żebyś był dobrym obywatelem kraju. A pan co dobrego dla niego zrobiłeś? Czyś choćby najdrobniejszém poświęceniem zyskał jedno błogosławieństwo, jedno proste serce, coby wpłynęło na zniszczenie nieszczęśliwego między nami rozdziału? Jesteś pan tu, gdzie być nie powinieneś; jesteś obojętnym tam, gdzie powinieneś być ojcem i przyjacielem; więc w obec tego cóż znaczą przymioty pańskie i jego mienie? Gdybyś był tak bogaty w dobre czyny obywatelskie, jak Graniec i pańskie kapitały, a dwa i trzy razy uboższy od nas, Józia i chwiliby się nie namyślała...

— Dziękuję pani, — przerwał Stefan, — ale już co na taką zamianę, to nigdy nie przystanę.

— Więc szukajże — odrzekła Marynia z zupełną niecierpliwością — takiéj, coby z zamkniętemi oczami poszła za pana, bo mogę zaręczyć, że Józia choćby milijon ocz posiadała, to żadnego nie przymknie, i współwłaścicielką Graniec nie zostanie.

W pół godziny potém bryczka pana Stefana z trajkotem pędziła ku domowi, a on rozparty, pychał dymem z fajki i mruczał pod nosem:

— Filozofki! nauczycielki! ale prędzéj wam rozumu braknie, jak mnie chleba. (d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

(Dokończenie).

Najznakomitsi malarze francuzcy, którzy wzięli udział w tegorocznéj wystawie, są: Yvon i Pils (rodzaj historyczny); bitwy: pod Małachowem, Almą, Solferino, Magentą etc. Obraz pana Pils, który obudza najżywsze zajęcie znawców, przedstawia bitwę pod Almą, chociaż największego rozmiaru utwor wyszedł z pod pędzla innego malarza, pana Yvon. Jest-to *Bitwa Francuzów z Austrjakami pod Solferino.* Gudin (rodzaj krajobrazów, widoki morskie, marynarka) jest bez zaprzeczenia najznakomitszym francuzkim malarzem; wystawił on w tym roku kilka obrazów,—te co najżywiéj publiczność zajmują, są: *Przybycie Królowéj Angielskiéj do portu francuzkiego Cherbourg* i *Burza na wybrzeżach Wielkiéj Brytanji.* Napoleon III jest podobno szczęśliwym nabywcą obudwu tych arcydzieł za summę 200,000 franków. Baudry (historja i portrety), celuje w utworach, gdzie chodzi o wywołanie nadzwyczajnych wrażeń. Wystawił on scenę przedstawiającą najokropniejsze zabójstwo, jakie w pierwszéj francuzkiéj rewolucji popełniono. Uniesiona fanatyzmem kobieta szlacheckiego rodu, nazwiskiem Karolina Corday, zabiła, jak wiadomo, w kąpieli okrutnego terrorystę Marat'a. Artysta przedstawił dziewicę jak anioła, czy potępieńca zemsty, w chwili kiedy ona wyjmuje sztylet z pod szalika i zanurza go aż do rękojeści w obnażonéj piersi leżącego Marat'a. „A moi, chère amie!“ te słowa wyrzec tylko zdołał sławny republikanin, członek ówczesnego rządu, a już śmierć zasuła na wieki oko błyszczące potęgą życia. Na te wyrazy Karolina odskoczyła do okna i stanęła w niemém osłupieniu. Wiadomém jest rozwiązanie tego strasznego wypadku. Fanatyczka ujęta, poniosła głowę pod gilotynę. Obraz ten przywodzi na pamięć wspomnienie, przejmujące dreszczem każdego Francuza. Pan Baudry wystawił jeszcze bardzo oryginalny portret pięcioletniego synka pani Szwejkowskiéj, nago, (en petit Saint Jean), w ładniutką przepaskę ujętego. Gerôme (historja); obraz przedstawiający sławną grecką awanturnicę, nazwiskiem *Fryne,* stawioną przed sądem areopagu i mającą być skazaną na śmierć w chwili, kiedy obrońca wyczerpawszy całą siłę wymowy, nagle obnaża tę córę Ewy i woła do sędziów: „Będzieciež mieli odwagę skazać na śmierć tę, która Praxytelesowi natchnęła sławny posąg Wenery?“ Fryne w téj postawie machinalnie zasłania oczy. Nie wiem jakie na sędziach greckich zrobił wrażenie ten oratorski fortel, to pewno, że w obrazie pana Gerôme wybiega na ich twarze zdziwienie, a może nawet współczucie. Mnóstwo Francuzów i wiele Francuzek tłumnie ten obraz oblegają, przypatrując się pięknéj winowajczyni pana Gerôme, gotowi jéj darować wiele ze względu na wdzięki i ukorzenie.

Księżna Matylda, siostra Księcia Napoleona, wystawiła aż cztery obrazy własnéj roboty i nieposlednich zalet. Naipiękniejsza dziś aktorka w Paryżu, panna Celina Montaland, (która przez blizko rok zachwycała publiczność paryzką w ogólności, a Cesarza Francuzów w szczególe, w czarodziejskiéj dramie pod tytułem: *Noga Barania*); wystawiła również dość piękny obraz, przedstawiający *Starą Wieżę na wyspie Rhodus.* Nie dla wysokich zalet tego obrazu, ale dlatego zapewne, że przypomina on tak zachwycającéj piękności osobę, mnóstwo Paryżan zatrzymuje się przed nim.

Znudziłbym Panie długiém wyliczaniem wszystkich utworów artystów francuzkich, nie nadużyję więc ich cierpliwości. Ze czterech tysięcy stu dwóch obrazów malarstwa, rzeźby, akwarel, miniatur, rytownictwa, litografji i architektury, wspomniałem tylko o niektórych arcydziełach.

Przechodzę zatém do polskich artystów, których utwory przyjęte zostały na tegorocznéj wystawie w Paryżu, i o każdym z nich wspomnę szczegółowo, choć tylko pobieżnie.

Obraz, który z natury swéj najwięcéj zwracać musi uwagi, jest dziełem pana Rodakowskiego, urodzonego we Lwowie, ucznia sławnego francuzkiego malarza Cogniet. Jedyny-to artysta Polak, który jeszcze na wystawie 1852 roku otrzymał medal pierwszéj klasy. Pan Rodakowski przedstawił *Króla Sobieskiego, przyjmującego Nuncjusza Papiezkiego i Posłów Austrjackiego Cesarza,* błagających polskiego Monarchę o pomoc dla oblężonego Wiednia. Pan Rodakowski czerpał pomysł do swego utworu z opisu tego wypadku w dziele pod tytułem: *Histoire de Sobieski.* Autor tego dzieła pan de Salvandy mówi: „Posłowie austrjaccy cisnęli się w komnatach królewskich, błagając o pomoc Króla Polskiego. Była chwila, w któréj Poseł Cesarza Austrjackiege i Nuncjusz Apostolski padli do nóg Królowi, całując jego kolana....“

Sobieski w kontuszu, kołpaku sobolim, z karabelą u pasa, zdobny w rozmaite dekoracje, stoi poważnie, licznym orszakiem dworzan otoczony, których prześliczne a poważne typy sarmackie rozciekawiają i zajmują żywo wszystkich Francuzów. Kardynał w czerwonych szatach i Ambassador Austrjacki na kolanach, z głową pochyloną aż ku ziemi, błagają kornie słynnego z odwagi bohatyra o pomoc dla Wiednia, o ocalenie Europy od pogańców, a Chrześcijaństwa od zalania pogaństwem

i islamizmem. Na pierwszy rzut oka Francuzi odgadują, że to musi być obraz polskiego artysty. Twarz królewska nosi piętno głębokiéj zadumy; widać z niéj początek postanowienia, co ożywia nadzieję błagających. Po majestatyczności i niezłomnéj woli Króla odgadnąć łatwo, że zwycięzki pochód trzystotysięcznych hord wyznawców Koranu zatrzymanym zostanie; ale jednocześnie nastręcza się przykra uwaga o dziwnych zrządzeniach Opatrzności, która dozwoliła runąć temu narodowi, co swą tarczą i piersią, jak nieprzebytym szańcem, cały Kościół Chrześcijański zasłonił i zbawił!

Myśl piękna, przedmiot wzniosły i dla obcych nawet nadzwyczaj zajmujący. Szkoda tylko, że artysta miasto historycznych, wszystkim Polakom znanych rysów naszego bohatyra, wprowadził jakiś fantazyjny typ dumnego wykwintnisia i dyplomaty Zachodu, przeodzianego w kontusz i zbrojnego w karabelę. Prostoduszny Sobieski nigdy na dyplomatę nie wyglądał: z dumą wyraźnego zadowolenia, tak wielkiego Dostojnika Kościoła jak Kardynał, na klęczkach przed nim nie był w stanie przyjmować; pałacu z marmurowemi pysznemi kolumnami i posadzką zdobną w drogocenne mozaiki, ani w Warszawie, ani we Lwowie, ani w Żółkwi nie posiadał. Nie wolno więc w dziele tak piękném, pomysłu, którego przeznaczeniem jest zdobić muzeum narodowe, skazić miejscowość historyczną, sprofanować drogie i tak znane wszystkim rysy pogromcy Mustafy Kary, i poświęcić wspomnieniom i ideałom swego mistrza, Pawła Veroneza, na którym się jak widać pan Rodakowski obrazuje. Naśladować niewolniczo choćby najznakomitszych mistrzów, znaczy zaprzéć się siebie samych i dobrowolnie zmniejszać swą wartość; jestto osłabiać sztukę, która jest drugim twórcą, uchybić posłannictwu swemu, odepchnąć chwałę—tę najszczytniejszą nagrodę naszych zdolności! Przedstawić nawet z talentem jakikolwiekbądź przedmiot takim, jakim on jest istotnie w naturze, jest dziełem poprostu mechanicznéj pracy; ale wyprowadzić z niego na jaw, przed oczy wszystkich tę boską iskrę, która go ożywia, co się zwie duszą i uczuciem—zrobić ją dotykalną dla zmysłów, zadziwić i zachwycić tym boskim duchem natchnienia nawet tłumy profanów—oto jest zadanie prawdziwego artysty. Każdy człowiek, który nie nosi w sobie ideału myśli i kształtu, wznioślejszych nad te, do jakich dojść może, nie zostawi po sobie śladu. Nie stosuję ja tych uwag do pana Rodakowskiego wyłącznie, chciałem tylko zrobić wzmiankę, że artysta ten zbyt goni za naśladownictwem Pawła Veroneza. Wiele rzeczy w jego obrazie, o którym mówię, tę wadę przypomina: pies naprzykład, włoski błazen, jakiego król Jan nigdy na swoim dworze nie miał, i w ogóle cały układ tego dzieła. Prócz tego, pożądaną byłoby rzeczą więcéj spokoju w całym utworze, i więcéj melancholicznéj powagi w tonie i kolorycie. Bądź co bądź, Sobieski pana Rodakowskiego jest magistralném dziełem, szczególniéj typy piękne sarmackich twarzy nadzwyczaj mu się udały. Pomysł do obrazu przeznaczonego na francuzką wystawę, jest nad wyraz szczęśliwy, i wdzięczni powinniśmy być panu Rodakowskiemu, że nas wielu potomkom niewdzięcznych w tak świetny sposób przywołał na pamięć.

Pan Gorecki Tadeusz, urodzony w Wilnie, wychowaniec Petersbugskiéj Akademji Sztuk pięknych, wystawił wielki obraz religijny: *Ustanowienie Rożańca.* Dominik Święty przyjmuje różaniec z rąk Matki Boskiéj, która mu się objawia podczas modlitwy. Święty kornie u stóp Boga Rodzicy klęczący, przyjmuje dar z tą żarliwością i głębokiém przekonaniem, jakie daje czysta wiara w niedocieczoną a niewątpliwą Opatrzność, czuwającą jak dobra matka, nad losem cnotliwego. Orędowniczka nasza w całym majestacie pokazuje się Świętemu: z obliczem, w którém gra niebiańska błogość, spokój i miłość przeczysta, ofiaruje mu różaniec prawą ręką, w lewéj utrzymując Dziecię, Odkupiciela rodzaju ludzkiego. Wzniosła myśl wybiegła na obadwa te oblicza, myśl harmonizująca zobopólnie. Matka Odkupiciela w swéj macierzyńskiéj, niewyczerpanéj miłości, chciałaby w postaci Świętego przycisnąć do serca cały ród ludzki. Madona widocznie uszczęśliwioną się być zdaje, że w swéj wszechmocności może przyłożyć się do błogosławieństwa tego rodu, z którego sama wyszła; Święty zaś na widok tak wielkiego i szczęsnego zjawiska, z uwielbieniem podnosi ramiona dla przyjęcia daru. W oczach Dominika Swiętego, którego twarz widać w profilu, przebłyska prawdziwe natchnienie. Pan Gorecki potrafił w swoje dzieło wlać myśl i życie, co właśnie jest najwyższą zaletą artysty. Dążenie do piękna, do ideału, do wyższego świata, pochwycenie myśli i życia, które Opatrzność wlała w każdy przedmiot mający istnienie, stanowi kryterjum sztuki, do którego pan Gorecki bardzo zaszczytnie wznieść się potrafił. Pomijam mechaniczną stronę malowania, chociaż sprawiedliwość oddać mu należy i w tym względzie. Powaga kompozycji, rysunek pewny i ściśle matematyczny, koloryt miły, znajomość znaczenia tonów i możliwego ich spowinowacenia wyprobowana, znamionują utwor tego artysty. Życzyćby wszakże należało więcéj ruchu w postaci Madony, więcéj wdzięku i miękkości. Pan Gorecki specjalnie się poświęcił rodzajowi religijnemu. Wielkie obrazy, każdy to wié,

nie stanowią jeszcze tego, co się wielkiém malarstwem klasyczném (grande peinture) nazywa, w obrazie *Ustanowienie Różańca*, zasługa odpowiada rozmiarowi. Wśród powszechnego upadku we Francji rodzaju religijnego malarstwa, utwor pana Goreckiego ściąga znawców, wzrok nęci i przenika duszę. Na tegoroczném wystawie jest on bez zaprzeczenia w rodzaju religijnym jednéem z dzieł najznakomitszych.

Pan Butkowski, wychowaniec Petersburgskiéj Szkoły Sztuk pięknych, wystawił aż trzy niezbyt wielkiego rozmiaru obrazy: *Odjazd na wojnę*, *Paź w buduarze swéj pani* i *Matka nad kolebką słabego dziecięcia*.

Sposób malowania tego artysty odznacza się sumiennością i wykończeniem, a to rzecz nie tak pospolita. Pan Butkowski nie zna wcale téj szarlatanerji, którą Francuzi pod nazwiskiem *trucs et ficelles* na wielką skalę praktykują. Pan Butkowski włada delikatnym pędzlem: koloryt jego jest silny, obok wdzięku i miękkości. Smiałość w rysunku bez zarozumienia. Prócz tego, obrazy tego malarza są bardzo wykończone, każdy szczegół wybitny, dokładny, a nieszkodzący ogólnéj harmonji, co tak trudném jest w małego rozmiaru utworach. Sumienność w sztuce jest może najtrudniejszém zadaniem artysty. Nie mijać się z prawdą, zawsze poważniejszą jak fałsz najświetniéj barwiony; trzymać się szczerości, która na widzach robi powszechnie dokładne odbicie effektu; czerpać natchnienie z natury tak płodnéj we wrażenia i niespodzianki, wystrzegać się przesady i napuszenia—jest dowodem siły i doskonałości w sztuce. Artysta, o którym mówię, zaszczytnie się wywiązał z tych trudności. We wszystkich obrazach spostrzegłem jeden i ten sam prawie typ kobiety. Najznakomitszym artystom przytrafiała się ta wada jednostajności, któréj zdaje mi się bardzo łatwo pozbyć się można. Kompozycja ma swoje prawa, nie należy w niéj zapominać o tym bardzo trafnym wierszyku francuzkim:

L'ennui naquit un jour de l'uniformité.

Pan Butkowski, jak widzę, jest może zanadto zwolennikiem atłasów; materje te mają wiele dobrego dla malarza, ale nadużywać ich nie należy.

Stattler Stanisław, urodzony w Krakowie, uczeń sławnego Ary Scheffer'a, wielkiego artysty i przyjaciela Polaków, wystawił obraz przedstawiający: *Bibljotekę Stryja*, tak przynajmniéj katalog nas uczy. Scheffer zapowiadał panu Stattler świetną przyszłość w zawodzie malarstwa—artysta ten postępuje na drodze prowadzącéj do urzeczywistnienia przepowiedni.

Żychliński urodzony w Dreźnie, wystawił *piękny portret*.

Grabowski Feliks, urodzony w Angers we Francji, uczeń sławnych rzeźbiarzy pana Ramey i Dumont. Artysta ten wystawił prześliczną grupę z marmuru białego, przedstawiającą nimfę *Cefizę podstrzygającą skrzydełka Kupidynowi*, aby raz wreszcie wyplenić na ziemi rasę płochych mężczyzn. (Dziś we Francji należałoby raczéj Nimfom skrzydełka podcinać). Co za lekkość pomysłu i wykonania, co za wdzięk, miękkość i słodycz wymowy tego posągu! Zręczne dłuto młodego artysty wlało kipiące życie w tę alegoryczną przymówkę. Zazdrosna psotnica zdybała we śnie ładniutkiego Amorka, i w przekonaniu dobrego czynu, że spokojném sumieniem płata mu takiego figla. Rozpieszczony dwuletni tłuścioch zasypia snem błogim, szczęśliwe, świetne na przyszłość snując marzenia; ale gdzie tam! „L'homme propose et la femme dispose de son avenir“, jak mówią Francuzi. Nimfa pana Grabowskiego jest prawdziwie nadludzką istotą: piękna i czysta jak bogini. W jéj oczach błyska myśl, usta jéj ironicznym śmiechem się rozwarły. Gdybyśmy żyli w wiekach cudów, zazdrośnica tyle ma życia i ruchu, że zstąpiłaby niezawodnie ze swego piedestału, jak Galatea Pygmaliona, i pokazałaby światu ożywiony obraz młodości i wdzięków.

Pan Grabowski wystąpił ze swym utworem po pierwszy raz r. 1857. Późniéj, r. 1859 widziałem na wystawie prześliczną jego grupę z marmuru białego. Pozwólcie mi Panie zrobić wspomnienie o tém pięknèm, znakomitém, zachwycającém dziele. Grupa pana Grabowskiego, o któréj wspominam, przedstawiała kobietę z obliczem wzniesioném ku niebu, symbolizującą *Myśl*, i *Psa* z podniesioną do góry paszczą, wyobrażającego *Instynkt*. Pomysł lekki, poetyczny, myśl wzniosła obleczona w ciało. Prześliczny czterowiersz, pamiętam, służył téj allegorji za komentarz:

Sa pensée est au ciel, au séjour qu'elle espère,
Et son chien, son ami, son compagnon sur terre,
Fixe instinctivement et promène ses yeux
Sur son regard perdu qui s'enfuit vers les cieux.

Pan Grabowski ustalił sobie we Francji niepospolitą sławę. Posiada on już medal drugiéj klasy, i jeżeli tak zaszczytnie pracować daléj będzie, otrzyma niezawodnie order legji honorowéj. Dla sławy naszéj stolicy, pożądaną byłoby rzeczą, aby pan Grabowski zrobił coś dla Warszawy. Mam przekonanie sumienne, że w najtrudniejszych zadaniach nie zawiedzie on oczekiwania i wypracuje dla Pol-

ski zachwycająco powierzony mu model. Mieszka w Paryżu na ulicy d'Enfer Nr. 25.

Pan Teofil Kwiatkowski, urodzony w Królestwie, wystawił akwarelę mającą przedstawiać *Uroczystość polskich wieśniaków*; powiadam *mającą przedstawiać*, dlatego, że z ubiorów i typów twarzy małego zbyt rozmiaru, trudno byłoby się tego nawet Polakowi domyśléć. Być może, że Francuzi bezwładne a zasmolone mumije pana Kwiatkowskiego wezmą za wesołą polską dziatwę; dla nich bowiem wszystko to jedno: co po za granicą, to w ogólności *terra incognita*; my wszakże za to, czém katalog chce aby były, bracich w żaden sposób nie możemy.

Wiadomo, że w akwarelach szczędzić należy przede wszystkiém miejsc białych (*les blancs*, jak nazywają Francuzi), zamykać ich kolorami nie wolno, kłaść farby tylko na miejscach cieniów jest dozwoloném. Otóż pan Kwiatkowski, zaufany zapewne w swój talent, który do wyłamania go z tego prawidła nieodzownéj konieczności upoważnia, zamazuje właśnie białe miejsca jaskrawemi kolorami, a ztąd wydobywa ton ogólny obrazu tak przyćmiony i melancholiczny, że akwarele jego zbrudzonemi się być zdają. Całemu utworowi wreszcie brak życia i siły; wszystko to suche, zimne i jednostajne jak monochromy. Bardzo żałować należy, że arcy dziwny i oryginalny koloryt skaził zupełnie całe dzieło pana Kwiatkowskiego, ponieważ ma ono i swoje zalety, a mianowicie rysunek ścisły i dokładny, w szczegółach zaś widać usilność i wypracowanie.

—Dalszy ciąg o malarzach, ziomkach naszych zostawiając do następnego listu, donoszę Wam, że czas mamy obecnie chłodny i dżdżysty jak w jesieni. W ciągu kolejnych lat kilku Francuzi się przekonali, że prędzéj na marcowe pogody i stałość Francuzek, jak na majowe piękne poranki liczyć można. Jak wszystko, tak też i majówki wyszły teraz z mody, bo i jakże inaczéj być może, kiedy ja dziś, 14 Maja, kilka osób w kożuchach z baranów krymskich na ulicy spotkałem. Nasza ziemia widocznie trapiona jest jakąś dezorganizacją i chorobą słońca.

Rodziny arystokratyczne nie opuściły dotąd stolicy; wydają one wciąż teraz, i więcéj jak kiedykolwiek, wieczory, rauty i sceniczne widowiska. Polskich rodzin od miesiąca mnóstwo do kraju powróciło. Cesarz i Cesarzowa udać się mają 27 Maja do jednéj z piękniejszych rezydencyj cesarskich, *Fontainebleau* zwanéj, gdzie na świetne łowy mnóstwo gości z Paryża zaproszono. Przy końcu miesiąca Cesarz ma się udać do obozu w Châlons, a późniéj do wód w Vichy. Ztamtąd ma on odprowadzić Cesarzowę do wód w Biarritz. Dotąd Cesarstwo zamieszkują pałac tuileryjski, i co Niedziela wyjeżdżają na wyścigi konne, które w lasku bulońskim, w miejscu zwaném La Marche, przy wielkim napływie powozów, konnych jeźdzców i amazonek się odbywają. Cesarz robi w tych dniach częste przeglądy wojska; pięcioletni Cesarzewicz w tym roku po pierwszy raz konno na pięknym kucyku angielskim regularnie ojcu na tych rewjach towarzyszy.

Kilka dni temu zabawną o tém dziecku słyszałem anegdotę. Pokojówka Księżnéj Stafanji, ciotki Cesarza Francuzów, która była obecną przy jego urodzeniu i widziała Napoleona IV w pieluchach jeszcze, przybyła w tych dniach z Manheim do Paryża i otrzymała pozwolenie przedstawienia się przyszłemu dziedzicowi korony francuzkiéj. Pokojówka ta jest Niemką i ma nieznośny akcent, jak wszystkie Niemki w wymowie francuzkiéj. Okoliczność ta zwróciła uwagę Cesarskiego Księcia.

„Niemcy mówią,—rzekł dumnie Cherubin francuzki,—żem ślepy. Otóż fałsz! Lulo widzi doskonale. Mówią żem głuchy, a ja ich dobrze słyszę. Mówią żem niemy, a waćpanna widzisz przecie, jak władam językiem. Lulo teraz konno jeździ na rewje z papą, powiedz to panna wszystkim swym Niemcom."

Kronika wzmianki nie robi, czy niedoszły Cesarz Francuzów ma kiedy zamiar do Niemców za Ren wyjechać, rozumié się nie w gościnę. „Aussi cela ne se dit pas, mais ça se devine" jak mówią Francuzi.

Wszystkie teatra są co wieczór zapełnione publicznością, żaden z nich nie myśli jeszcze zakończyć widowisk na porę letnią, jak to się zwykle w Maju robić zwykło. Jeden teatr włoski zakończył już swe przedstawienia.

Ulubione koncerta Musarda przy pałacu wystawy już otwarte zostały, ale mało komu chce się dotąd szukać chłodu na otwartém powietrzu, kiedy w mieszkaniu i przy kominku z rozłożonym ogniem znaléść go dość może. Maj stanowczo do jesiennych miesięcy zaliczyć we Francji zamierzamy.

—W tych dniach zawiązało się tu w Paryżu towarzystwo, mające na celu zniszczenie nałogu palenia tytuniu. Towarzystwo to składa się z wielu znakomitych ludzi: lekarzy, adwokatów, uczonych, członków instytutu francuzkiego etc. Nałóg bowiem palenia fajek, cygar i cygaretek coraz więcéj się szerzy we Francji. Na budżecie francuzkim dochód z podatku od tytuniu wynosić będzie już na rok 1862 summę ogromną dwustu milijonów frank.

DODATEK

Dodatek do Nru 22 Magazynu Mód.

Warszawa dnia 20 Maja (1 Czerwca) 1861 roku.

WYJĄTEK Z LISTU
Pani Pau. Wilkońskiéj.

Zanim Was dojdzie śliczna nowość literacka z Krakowa, powiadamiające o niéj przesełam Wam słówko. Są-to *Poezje Michała-Anioła Buonarottego*, które Lucjan Siemieński na nasz język przełożył. Nadto poprzedził je nader zajmująco skreślonóm sprawozdaniem o życiu i pracach wielkiego poety-artysty; w końcu są objaśnienia. Wydanie staranne, z portretem Michała-Anioła, jest dopełnione nakładem redakcji *Niewiasty*. Obok ślicznego spolszczenia, zamieszczono i tekst włoski. Książeczka ta na bardzo miły podarek posłużyć może, zwłaszcza też narzeczonego dla narzeczonéj. Wypisuję tu dwa Sonety: jeden erotycznéj treści, których jest najwięcéj; drugi religijnéj.

XIII.

Jak się to dzieje? a jednakże bywa;
Bo doświadczałem, że nieraz na świecie
Postać wykuta z głazu trwa jak żywa,
Kiedy rzeźbiarza śmierć przedwczesna zmiecie.

W tym razie skutek trwalszy od przyczyny,
I nad naturą zwycięztwo ma sztuka;
Wiem że snycerstwo to mój duch jedyny,
Kiedy czas zawsze umknie i oszuka.

Może zdołałbym nadać nieśmiertelność
Tobie i sobie; na płótnie lub z głazu
Rzeźbiąc uczucia nasze z naszém ciałém:

Aby w lat tysiąc podziwiano dzielność
Mojéj miłości, czar twego wyrazu,
I zrozumiano czemu tak kochałem!

XXXVI.

Na schyłku dni mych, przez burzliwe morze
Zawijam w kruchéj łodzi do ostoi
Wspólnéj, gdzie każdy z pielgrzymki tu swojéj
Sprosnéj lub dobréj, zda liczbę w pokorze.

Rwany uroczéj fantazji rozpędem,
Bożyszczu sztuki paliłem ofiary;
Tuczyłem ducha błędami bez miary:
Bo czyż miłości ziemskie nie są błędem?

Sny wyobraźni! łudzić wam niedługo!
Oto podwójna śmierć ku mnie się zbliża:
Jednéj jam pewny, truchleję przed drugą...

Pędzel ni dłuto, duszy nie ukoi;
Jedyne wsparcie Boże w łasce Twojéj!
W ramionach wyciągniętych do mnie z krzyża.

DAWNE UCZTY.

W wieku XVI jadano objad o godzinie dziewiątéj z rana, wieczerzę o piątéj. O tym zwyczaju świadczy dotąd stare przysłowie francuzkie:

Lever à cinq, diner à neuf
Souper à cinq, coucher à neuf,
Font vivre d'ans nonante neuf.

„Wstawać o piątéj, jeść objad o dziewiątéj,
Wieczerzać o piątéj, kłaść się o dziewiątéj—
Można żyć lat dziewięćdziesiąt dziewięć."

Dziś zmieniono zupełnie porządek życia, to téż późny wiek staje się coraz rzadszą osobliwością.

Przyrządy do uczty u starożytnych ludów nadzwyczaj były proste. Gallowie pokrywali ziemię skórą dzikich zwierząt, na któréj stawiali w naczyniach glinianych rozmaite mięsiwa. Do krajania używali małych nożyków, przytwierdzonych do pasa na rzemieniu, żeby zastępowały im widelce, pili z rogów zwierząt zabitych na łowach.

Późniéj, skutkiem związków z Grekami i Rzymianami, przejęli ich obyczaje. Belgowie od czasów Cezara, jadali u stołów leżąc na wygodnych łożach. Stoły do coraz większéj przychodziły doskonałości, zaczęto je politurować i ozdabiac pięknemi rzeźbami; długo jednak nie używano obrusa. Karol Wielki kazał ukuć trzy stoły srebrne, jeden miał nawet szczerozłoty; późniéj zaczęto pokrywać stoły płótnem albo oponami z wyprawnéj skóry lub pargaminu. W średnich wiekach, kiedy który z możnowładców chciał się pomścić nad dumnym współzapaśnikiem, posyłał herolda, aby rozkroił przed nim obrus i wywrócił chléb i czarę. Była-to straszna zniewaga, którą śmierć tylko mogła pomścić. W końcu szesnastego wieku dopiero wprowadzono użycie serwet; do tego czasu ocierano usta i ręce obrusem.

W miejsce starożytnych rogów, zaczęto używać wszelkiego rodzaju czar metalowych, kutych ze złota, srebra albo cyny. Późniéj nastąpiły czary szklane, które w XVI wieku prześlicznie już wyrabiano: ubożsi używali kubków drewnianych, cynowych lub z wydrążonéj tykwy.

W XIV wieku zaczęto używać łyżek i widelców w kształcie podwójnych wideł. Wprzód zastępowano je poprostu palcami.

Wielka zmiana w przyrządach stołowych nastąpiła w wieku XVI. Zamiast srebra, żelaza i miedzi, zaprowadzono fajans. Zaczęto sprowadzać z Azji

porcelanę, i opłacano ją na wagę *złota*. Wreszcie Baron Boettcher, chemik saski, odkrył w XVII wieku sposób wyrabiania porcelanowych naczyń, i upowszechił je w Europie. Wówczas kredens z półkami stał się niezbędnym sprzętem w każdym domu. Zastawiano go złotemi i srebrnemi pucharami, oraz kosztowną porcelaną. Kredens zazwyczaj z dębowego drzewa, bogato i sztucznie był rzeźbiony, a wartość rozstawionych w nim naczyń świadczyła o zamożności domu.

---

* *
*

Zamiejskie nasze okolice, tak długo ziębione i bielone ostatniemi wybrykami zimy, ogrzane wreszcie majowém słoneczkiem, przystroiły się w tak cudne sukienki, otoczyły tak ożywczą wonią, że się im i nacieszyć i napatrzéć dosyć nie można. To też Warszawiacy, którzy mogą, wynoszą się na letnie mieszkania, z radością żegnając kurz, trajkot i wyziewy stołecznego grodu; którzy nie mogą, tłumami, szczególniéj w święta, wychodzą za rogatki Warszawy, żeby choć spojrzéć na zielone pola i łąki, i troszkę odetchnąć balsamicznym oddechem wiosny. Ale nie sama przechadzka jest wyłącznym celem tych zamiejskich Warszawy wycieczek; tradycyjna a jednak nieprzesadzona pobożność ważną tu odgrywa rolę—i zarówno w Czerniakowie jak Bielanach, Mokotowie lub Wilanowie, napełnia modlącemi się Świątynie Pańskie. A jak się to wszystko modli, jak w śpiewie korzy przed Panem nad pany...! W przeszłą Niedzielę w kościele PP. Sakramentek, a w Krakowie w pierwsze Święto Zielonych Świątek, odbył się obrzęd przystąpienia młodzieży pierwszy raz do Świętéj Komunji. Piękny ten a tak nieoceniony zwyczaj, od niedawna wprowadzony w Warszawie, na prowincji jeszcze prawie zupełnie nie znalazł zastosowania: a ileż dobrego mógłby sprawić szczególniéj między ludnością wiejską, tak mało działającéj myślą w rzeczach tyczących się religji, i przez to niepodniesionéj jeszcze do należytego pojmowania obowiązków moralności chrześcijańskiéj.

Czyżby to więc nie było pięknem i godném Was zacne Dziewice naszéj polskiéj ziemi, abyście idąc w ślad za Warszawą, zwyczaj ten przeniosły do wiosek, i łącząc się w kilka lub kilkanaście dworów, należących do jednéj parafji, na dzień oznaczony przyprowadzały rok rocznie do kościoła gromadki młodzieży wieśniaczéj, przybranéj starannie a natchnionéj Waszą myślą, ożywionéj Waszém sercem i przygotowanéj Waszém staraniem i Waszą pracą do godnego przystąpienia do Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiéj?

Praca-to wprawdzie niemała, ale nie mniejsza nagroda; bez poświęceń w podobnym kierunku myśl się nie ocknie między ludem z letargicznego uśpienia i nie wzniesie na wyżynę obywatelstwa, którego koroną wspólne wszystkich dobro i błogosławieństwo przyszłych pokoleń. Pomyślcie więc nad tém dobrze, zacne moje Czytelniczki; trudności usuwajcie wytrwaniem, obojętność cierpliwością, a niechęć nieprzebranemi skarbami Waszego serca; trzymając się zaś mężnie przy raz obraném postanowieniu, będziecie pewne, że Wam i ludzie dopomogą i Bóg pobłogosławi—bo prawda będzie przy Was, a celem szczęście milijonów...

Obok korzyści moralnéj, nie pozostanie to także bez znacznego wpływu na obudzanie chęci do nauki, która z czasem wydobędzie niejeden ukryty talent na pożytek i chlubę kraju, i niejednego powoła na siewcę rozumném słowem poczciwéj myśli. Że talenta podobne są, że zapał do nauki trafia się często pomiędzy włościanami, mógłbym Wam bardzo wiele dać przykładów, ale ograniczę się na najświeższym, przytaczając wiernie słowa matki opowiadającéj mi o swym dwunasto czy czternasto-letnim synie.

We wsi Świątnikach w Sandomierskiém, darowanéj niegdyś włościanom przez Królowę Jadwigę, mieszka Józef Socha, dosyć zamożny włościanin. Żona jego rządzi wybornie całém gospodarstwem, on zaś, po otrzymaniu dymissji ze służby wojskowéj, objął obowiązki szwajcara przy kościele katedralnym w Sandomierzu, i co Święto pilnuje porządku w czasie nabożeństwa, stukając poważnie laską po kamiennéj posadzce, i targaniną czupryny rozbudzając usypiających. Przy pomocy więc tak podwojonych dochodów, syna starszego oddano do szkoły powiatowéj; ale po dwuletniéj nauce, gdy obrachowano się z wydatkami i przekonano, że za pieniądze wyłożone na nią można było dokupić kilkanaście zagonów gruntu, postanowiono przerwać dalszą edukację i obrócić chłopca do zwykłéj pracy przy gospodarstwie. Na zapytanie, czy się uczył dobrze, odpowiedziała:

— Ej! proszę pana, uczyć uczył się dobrze, i przy nim i ja się nauczyłam czytać, a potémem i dziewuchę i młodszego chłopca nauczyła; alekiedy nauka ta strasznie wiele kosztuje. Jak przyjechał na wakacje, cenzurę przyniósł dobrą, pokażę ją, to ją pan przeczyta; ale cóż z tego, kiedy nijakiego wyręczenia nie miałam z niego w domu. Ja mu każę przypilnować gęsi, albo dobytek napoić, to kaj-ta, kaj! bryznął w pola i jużcić, a tu gęsi poszły w szkodą, a dobytek rozlazł się po wsi, i jużcić nowa ro-

bota. Tak myślę sobie: czy Boskie skaranie, czy co? poczekaj! pomału to cię odejdzie wszystko. Ale równie miał swoje na pamięci; i jak się dowiedział od Marysi, że go już do szkoły nie peślemy, tak w izbie bach! mi do nóg i daléjże molestować, coby go nie zagubiać i prowadzić naukę jak się zaczęło. Łzy mi na to stanęły w oczach i rzekę:

„Moje dziecko, kiedy to straszny wydatek na mundur, książki i inne oporządzenie: trzebaby ładować już najmniéj ze 150 złp., a tu trudno. Jest was troje, gruntu się dokupiło, to już brać nie ma z czegą...."

„To, matusiu droga! przedajcie krowę,—rzekł mi na to,—a mnie nie opuszczajcie, bo ja się chyba zagubię!"

Na te słowa zdusiłam płacz w sobie i rzekłam:

„Moje dziecko, chyba ojciec co na to poradzi, bo ja nie mam nijakiego sposobu."

W Sandomierzu, jakeśma tylko przyjechali, tak chłopak w przodziu rzucił się do izby, i znowu bach! ojcu do nóg i mówi:

„Mój najdroższy tatusiu, a nie zostawiajcie mnie, nie zostawiajcie! oddajcie mnie do szkół, bo już wy ze mnie nijakiéj nie będziecie mieli pociechy w domu, bo na mnie już tylko nauka patrzy. Mój tatusiu, mój najdroższy tatusiu!"

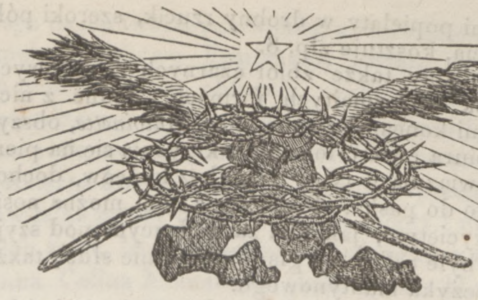
Na takie proszenie, mój drogi panie, rozpłakaliśmy się jak dzieci; chłopak także się rozpłakał.... boć człek nie kamień.... i także ma w sobie serce.... ha! i pogadaliśmy z sobą na boku, i chłopak znowu poszedł do szkoły. Co to było z tego radości, co uciechy, to myślałam, że chłopaczyna się zagubi, co nam tak ściskał nogi i całował.—

Cenzura rzeczywiście była bardzo dobrą, ale już pisano go nie Socha, jak się zwał, ale Sochacki. Że rodziców to cieszyło, nie dziwię się wcale; ale że nie znalazł się ktoś z przekręcających jego miano, coby wytłómaczył niewłaściwość podobnego kłamstwa—to wyjść nie mogę z podziwienia.

W zakończeniu muszę Was przeprosić w imieniu Redakcji, za błąd litografów francuzkich, którzy na przysłanych z Paryża rycinach, Warszawę zrobili *Warszową*. Za tę ortograficzną niespodziankę mszcząc się ortograficznie, Paryż przekręcam na *Parusa*; niech zna, że nas lekceważyć nie można.

SZARADA.

Trzeciego i *pierwszego* trzeba do klejenia,
Drugi zaś do jedzenia—*wszystkie* do odzienia.



Zdaje się, że pogoda stanowczo już wróciła: można więc śmiało pomówić dziś o letnich ubraniach. Wprawdzie teraźniejsze mody małe przedstawiają pole do opisu; lecz choć barwa ich jednostajna, są przecież lekkie odcienia, na które warto zwrócić uwagę. Oglądając właśnie w tych dniach nowe żaknociki i muszlinki u p. Schlenkera, podziwialiśmy ich rozmaitość, mimo że wszystkie czarne z białym lub popielate. Najwięcéj z nich w drobne podłużne paseczki, w małą kratkę lub rzucik; wszystkie w ogólności zalecają się dobrym gustem i ceną nader przystępną, łokieć bowiem żaknociku kosztuje tylko złp. 2 gr. 10, Muszlinki kupują się po złp. 3 gr. 10; organtyny po złp. 5.

W magazynie pana Sobolewskiego są gotowe negliżowe ubrania pikowe, bardzo właściwe na wody, które, jak wiemy, już się rozpoczęły w ogrodach. Jeden z tych negliżów składał się ze spódnicy kulistéj, z obudwóch boków spajanéj na zęby; przód ubrany był plisami i guzikami w środku. Na tę spódnicę szedł paletocik nieprzystający do figury, z okrągłemi kieszonkami po bokach.

Inny znów negliż z letniéj popeliny popielatéj, miał spódnicę wygarnirowaną z przodu w drabinkę plisami czarnemi jedwabnemi; każdą plisę przytwierdzał w środku czarny guzik. Paletot obszerny i długi objęty był także materją czarną. Rękawy niezbyt szerokie, z wyłożonym mankietem, przybrane były plisą i guzikami. Cały ten paletot ze spódnicą kosztował złp. 133 gr. 10.

Do rannego ubrania po domu są tam także spódniczki wełniane, mieszane z bawełną, bardzo lekkie i ładne; w Paryżu zowią je *jupon laitière*, czyli spódniczką *mléczarki*. Taka spódnica biała w czarną kratkę, ze szlakiem fijołkowym, bardzo ładnie wygląda; zamiast stanika noszą do niéj koszulkę wełnianą, zwaną *Garibaldką*, fijołkową, wyszywaną z'przodu czarnym sznurkiem, albo kamizelkę. Wolelibyśmy jeszcze takie spódniczki z szlakiem czarnym i takąż Garibaldę; wprawdzie nie było ich gotowych w magazynie, ale u pana Sobolewskiego każdy może zamówić co mu się podoba, a będzie miał wszystko odrobione w krótkim czasie, według paryzkich wzorów. Dostanie tam również fularów, bareżów i innych lekkich wyrobów na suknie i szlafroczki. Fular gładki, czarny lub popielaty, w dobrym gatunku, wynosi po złp. 8 łokieć; lżéjszy cokolwiek, w biały groszek na tle czarném i popielatém, po złp. 6 gr. 20.

Bareż czarny angielski, cienki, a przytém gęsty i nieprzezroczysty, wypada łokieć złp. 3 gr. 10, szerokości łokciowéj; popielaty w drobne paseczki czarne, z gatunków klarownych, po złp. 2 gr. 15.

Ryps letni popielaty w drobny rzucik, szeroki półtora łokcia, kosztuje złp. 8.

Uważaliśmy także zbiór czarnych gipiurowych pelerynek w rozmaitych formach. Jedne z nich z długiemi końcami, zwane *Marie Antoinette*, obszyte są gipiurą ćwierć-łokciową, krzyżują się na piersi i przewiązują w tyle. Inne bez końców, dochodzą tylko do paska. Pierwsze z nich można nosić tak na wyciętym, jak i na zachodzącym pod szyję staniku, byle tylko był gładki. Ostatnie służą także do płaszczyka mantynowego.

Parasolki w tym składzie odznaczają się bardzo dobrym gustem: podobał nam się bardzo fijołkowy średniéj wielkości, pokryty koronką czarną, przerabianą paciorkami z lawy; ładny był również biały z falbaną, naszytą kilkoma rzędami czarnéj aksamitki. Są także większe parasolki, zwane *en cas*, które w razie potrzeby zabezpieczyć mogą od deszczu.

W magazynie panien Kuhnke, widzieliśmy kilka letnich sukien, tak bareżowych, jak i żaknocikowych. Jedna z nich z *barège crinoline* czarna, miała spódniczkę o dziewięciu brytach; na każdym brycie szedł w górę klin czarny jedwabny, u dołu szeroki na trzy palce, otoczony wkoło fałdowaną wązką falbanką; wysokość tych klinów wraz z falbankami, wynosiła łokieć. Stanik pod szyję *à l'Impératrice*, cały na podszewce jedwabnéj, przyfałdowany był wkoło do karczka i na fałdach przytwierdzony jedwabnemi guzikami. U szyi zdobiła go rusza ze strzyżonéj w ząbki materji. W pasie otaczała stanik szarfa bareżowa, z szerokiemi końcami; każdy koniec zakończony był potrójną falbanką fałdowaną; nad każdą z nich szła jedwabna pliska. Rękawy składały się z dwóch buf przewiązanych w środku kokardą, i z płaskiego, przylegającego do ręki mankieta, ozdobionego dwoma ruszami: jedna z nich dana była samym brzegiem u ręki, druga w miejscu gdzie mankiet stykał się z bufą.

Za okrycie do téj sukni służył szal bareżowy, zwany *plaid Eleonor*. Jest-to poprostu bryt bareżu, objęty wkoło szeroką wstążką, w środku spięty razem; przez co tworzy się płaski kapturek, ozdobiony małemi kwaścikami. Takie *plaidy* czarne kaszmirowe, objęte materją, bardzo używane są w tym roku; można je nosić do wszystkich sukien, zamiast mantyl. Dostanie ich gotowych w magazynie panien Kuhnke, po złp. 100. Bareżowy daleko mniej kosztuje.

Inna suknia czarna żaknotowa, w biały drobniuchny rzucik, miała u dołu trzy falbanki wązkie na cztery cale; najwyższa z nich zakończona główką. Stanik marszczony był dokoła, spięty na szmuklerskie guziczki w białą i czarną kratkę; rękawy w górze fałdowane, u ręki otwarte i obszyte dwoma falbankami. Pasek czarny z białym, ozdobiony klamerką z lawy i aluminium, dopełniał tego skromnego a ładnego ubrania.

Do téj sukni była jeszcze mantyla w kształcie chustki, obszyta u dołu dwoma falbankami, z boków ruszką żaknotową.

Nowości Zagraniczne.

Le caprice.—Kapelusze tegoroczne nie są ani zbyt małe, ani wielkie, zachodzą nieco na czoło. Karczek spada na szyję, bez przesady; główka zazwyczaj bywa okrągła, rondo przymarszczane. Zdobią je powszechnie piórami lub kwiatami. Na podpięcie służy albo wstążka, albo djadem z kwiatów lub z piórek. Moda w tém nagina się do wszelkich wymagań. Przy twarzy garnirowanie daje się zwykle z białéj blondynki nad czołem, z czarnéj pomieszany z kwiatami.

Do wyjścia na ulicę noszą wiele kapeluszy ze słomy brukselskiéj; kapelusze włosiane białe, czarne lub popielate, będą miały także powodzenie, gdyż są lekkie, świeże i bez pretensji.

Kapelusze strojniejsze bywają zwykle z krepy, z tiulu w muszki białego lub czarnego, ryżowe albo z włoskiéj słomy.

Z pomiędzy okrywek najwięcéj się podobają paletoty wełniane wszelkiego rodzaju. Burnusy arabskie i płaszczyki czarne jedwabne, ozdobione wypustką fijołkową, pasmanterją lub ruszą, a niekiedy kołnierzem gipiurowym.

Moda falban ciągle się u sukien utrzymuje; ale mieszczą je w rozmaity sposób: niektóre dają w zęby, inne naszywają w drabinkę na przodzie spódnicy. Widzieliśmy między innemi suknię z szerokim wolantem, nad którym szło pięć wązkich falbanek.

LODOWNIA PRZENOŚNA, POKOJOWA.

W znanym zakładzie pana Pika przy ulicy Miodowéj, mieliśmy sposobność oglądać bardzo praktyczny i niedrogi przyrząd do konserwowania w czasie wielkiego gorąca wina oraz różnych napojów i potraw. Przyrząd ten zwany *lodownią przenośną pokojową*, niczém inném nie jest jak sprzętem w kształcie komody, szczelnie zamykającéj się, mającéj wewnątrz podwójne cynkowe ściany; przedział między temi ścianami wypełnia się nieprzepuszczającym ciepła proszkiem, który zwykle się robi z soli glauberskiéj i palonego węgla. Ustawiwszy we środku przedmioty, które przechować chcemy, należy tę lodownią zamknąć starannie, aby najmniejszego przystępu nie miało powietrze, które, jak wiadomo, głównie się do psucia ciał przyczynia. Jeżeli jeszcze wewnątrz włożymy kawałek lodu, który przez dni kilka stopić się nie jest w stanie, to nie tylko zakonserwujemy doskonale zachowane potrawy lub napoje, lecz będziemy je mieli zimne, jakby wprost ze zwyczajnéj przyniesione lodowni. Pod spodem tego przyrządu jest umieszczona rurka do wypuszczenia wody pozostałéj z roztapiającego się lodu. Cena lodowni pokojowéj wynosi od 25 do 40 rsr.

KORRESPONDENCJA.

Pa. Leo. Bo...—Burnus rypsowy kosztować będzie złp. 73 gr. 10; czarny kaszmirowy od złp. 113 gr. 10, do 200 złp.— — *Pani Ma. Mio. w Kuch...*—Do sprawunku dodaliśmy jeszcze złp. 4 gr. 4.— —*Pannie Ju. Kowie.*—Do girland ślubnych mało są używane listki mirtowe, tylko kwiat i liście pomarańczowe, mieszane z białemi różami i innemi fantazyjnemi kwiatami.

NB. Listy i przesyłki tak pieniężne, jak i innego rodzaju, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina męzka i tablica z krojami, których opis pomieszczony zostanie w następnym numerze.

Wolno druk.—Warszawa d. 19 (31) Maja 1861 r.—Starszy Cenzor *A. Funkenstein.*— w Druk. K. Kowalewskiego.